



Autorka bestsellerowej powieści *Summer Love*

ULA BUCHACZ

LONG WAY BACK TO YOU



ULA BUCHACZ

**LONG WAY
BACK TO YOU**

Copyright © for the text by Ula Buchacz
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Kinga Jaźwińska-Szczepaniak
Korekta: Joanna Błakita, Kamila Grotowska, Wiktoria Garczewska
Skład i łamanie: Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-884-4 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](#)
✂ [Wyd_Niezwykle](#)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

*Ktoś musi odejść pierwszy.
To bardzo stara historia.
Nie ma innej wersji tej historii*.*
– Richard Siken, *War of the Foxes*

* Tłumaczenie autorki. Oryginalna wersja sentencji brzmi: *Someone has to leave first. This is a very old story. There is no other version of this story* (przyp. red.).

Dla Ciebie, drogi Czytelniku...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„C+P+S 4Ever”

1990

– *Harry Truman, Doris Day, Red China, Johnnie Ray, South Pacific, Walter Winchell, Joe DiMaggio, Joe McCatty**.

– Stop!

– *Richard Nixon, Studebaker, television, North Korea, South Korea, Marilyn Monroe...*

– Stop, stop, stop! – Dziewczynka machała rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Nie sposób było, żeby ją usłyszał, bo krzyczał do mikrofonu i zaciskał oczy jak prawdziwy piosenkarz. Podeszła więc do maszyny i wyrwała kabel z kontaktu, przez co wyłączyła muzykę. Była świadoma tego, że wystarczyło nacisnąć przycisk, ale nie od dziś wiadomo, że to wielka fanka dramatycznych akcentów.

* Słowa z piosenki *We Didn't Start the Fire* Billy'ego Joela. Tekst śpiewany przez Spencera zawiera błąd wynikający z pomyłki bohatera. Oryginalny tekst brzmi: *Harry Truman, Doris Day, Red China, Johnnie Ray, South Pacific, Walter Winchell, Joe DiMaggio, Joe McCarthy, Richard Nixon, Studebaker, television, North Korea, South Korea, Marilyn Monroe* (przyp. red.).

– Co znowu?! – Chłopiec teatralnym gestem odrzucił na plecy przewieszoną przez ramię plastikową gitarę, a potem głośno westchnął niczym zmęczona, wypalona zawodowo gwiazda rocka.

– Joe McCarthy! – poprawiła go, a jej grube, ciemne brwi wystrzeliły w górę, jakby mówiła najoczywistszą rzecz na świecie. – M. C. C. A. R. T. H. Y – przeliterowała. – A nie: McCatty!

Dla niej w zasadzie to było zupełnie oczywiste. Wałkowali tę cholerną piosenkę od tygodni, a on wciąż przekreślał to samo nazwisko. Strasznie ją to irytowało, zważywszy na fakt, że na ekranie wyświetlał się przecież tekst. Gdyby tylko Spencer otworzył oczy, może nie miałby problemu z jego przeczytaniem.

Maszynę do karaoke otrzymała na dziesiąte urodziny. Wielka przesyłka od cici z Anglii dotarła tydzień przed tym ważnym dniem, ale Claire dostała klarowny zakaz otwierania jej przed jego nadejściem. Od razu przytargała pudło na werandę Spencera, zażądała, by pożyczył jej stetoskop od swojej babci – emerytowanej lekarki – a potem, traktując zadanie śmiertelnie poważnie niczym rozbijanie sejfu, wspólnie próbowali zgadnąć, co jest w środku.

Przez kolejne sześć dni spała z zafolowanym kartonem przy swoim łóżku. Czasami budziła się w nocy, aby się upewnić, że nikt go nie ukradł.

To był pierwszy prawdziwy prezent, jaki dostała. Nie licząc złotej szkatułki na biżuterię, którą zostawiła dla niej matka, lecz Claire akurat jej nie traktowała jako podarunku. Widziała w niej zaledwie „skutek uboczny”, obciążające przypomnienie o przeszłości, którą matka chciała zostawić za sobą, żeby z czystym sumieniem móc o córce zapomnieć.

Claire nigdy nie mówiła o mamie. Przenigdy. Tego dnia, gdy kobieta wyszła z domu i już nie wróciła, dziewczynka pochowała ją głęboko w sercu, na samym jego dnie. Miała wtedy niecałe pięć lat i już musiała uznać matkę za martwą. Tak było po prostu łatwiej. „Mama zmarła” brzmiało lepiej niż: „Mama nas porzuciła”. „Mama jest teraz w lepszym miejscu” miało łagodniejszy wydźwięk niż: „Mama nie kochała nas wystarczająco, by zostać i się nami zaopiekować”. Od tamtego momentu Claire Bishop czuła się niewystarczająco dobra i nic, absolutnie nic oprócz bezwarunkowej matczynej miłości, która nie pochodziłaby z żadnego innego źródła, nie mogło tego zmienić. Została opuszczona przez kogoś, kto podarował jej życie, a potem kazał spędzić jego resztę w odosobnieniu. Czuła się też wybrakowana, zepsuta. Na szczęście miała Spencera Cohena, który zawsze potrafił rozbawić ją do łez, i Pen Morales – cudowną, codziennie uśmiechniętą, pomocną, uroczą, wspierającą Penny.

Odkąd Claire sięgała pamięcią, ona, Pen i Spencer spędzali w piwnicy państwa Moralesów każdą wolną chwilę. Rodzice Penny, Louisa i Ruben przerobili ją na pokój do odpoczynku i rozrywki. Oczywiście nie korzystali z niego zbyt często, ponieważ był wiecznie okupowany przez tę trójkę. Dla właścicieli piwnica pełniła raczej funkcję pralni i garderoby, lecz to nie zmieniało faktu, że według grupy przyjaciół była sakralnym miejscem. Znajdowała się tu bowiem stara ciemnozielona kanapa, nowy nabytek w postaci maszyny do karaoke, duży telewizor posiadający zaledwie trzy kanały, czyli o trzy więcej niż telewizory Spencera i Claire, stół do gry w ping-ponga i mnóstwo kartonów wypełnionych po brzegi wszystkim, na co nie było miejsca w domowej przestrzeni. Ta piwnica dawała wspomnianej

dwójce poczucie komfortu i szczęścia, którego nie czuli do-
tąd nigdzie indziej.

Spencer i Claire pochodzili z rodzin, w których nie było w nadmiarze ani pieniędzy, ani uczuć. Ojciec dziewczynki, Keith Bishop, starał się być możliwie jak najlepszym samotnym rodzicem. Nie zawsze wychodziło mu świetnie, ale przynajmniej robił to, co naprawdę było istotne – został, próbował i to wydawało się wystarczające. Po odejściu żony pochłonęła go praca. Zaharowywał się, ale robił to dla córek, które kochał nad życie. Niestety, przez to tracił też cenny czas, który mogliby spędzić we troje. Ojca pochłonał też smutek, którego nigdy się ze swojego życia nie pozbył.

Mama Spencera, Agatha Cohen, to kochana, wyrozumiała, wspierająca i zakochana w swoim jedynaku osoba. Zatem los postanowił zachować w ich rodzinie równowagę, czyniąc jego tatę surowym, staroświeckim i upartym gburem, duszącym w swoim synu każdy promyk nadziei, entuzjazmu i pasji. Z niewiadomego powodu Derek Cohen przejawiał wobec chłopca ogromną niechęć.

Rodzina Penny była więc dla tej dwójki jedynym przykładem pełnej, szczęśliwej komórki społecznej. Choć miała także swoje wady, to jasne.

Ojciec Pen pracował w mleczarni od dwudziestu lat. I choć jego rodzice uciekli przed wojną w Gwatemali w poszukiwaniu lepszego życia, to „amerykańskie marzenie”, które zostało im obiecane, pomimo otworzenia przed nimi wielu możliwości przyniosło za sobą również konsekwencje. Jedną z nich stało się to, że ciągle byli zmuszani do oglądania się przez ramię i obarczani poczuciem winy, które przechodziło z pokolenia na pokolenie. Drugą to, że dziadek Pen nie mógł się pozbyć etykiety dezertera,

którą sam sobie przykleił, i z tego powodu – jak to niestety bywa – przelał całą swoją frustrację i wstyd na syna, a on nie omieszkał przelać tych emocji na własne dziecko, które mimo wszystko kochał ponad życie. Kochał je nawet bardziej, niż ojciec kochał jego, albo tak mu się przynajmniej wydawało. Zapewniał córkę o swojej miłości minimum dwa razy dziennie, czytał jej bajki na dobranoc, przynosił do domu hektolitry mleka, a wraz z nim najróżniejsze płatki śniadaniowe. Przekąską w domu Penny od zawsze były płatki z mlekiem, czy to na deser, na podwieczorek, czy na śniadanie. Któregoś roku we trójkę spróbowali płatków każdej dostępnej na rynku marki, a tych pod koniec lat osiemdziesiątych w małej miejscinie Beaufort było niewiele.

– Co to za różnica? – Chłopiec wyrzucił ręce w powietrze.

– Dość spora! Jeden z nich był senatorem Wisconsin, a drugi... pewnie nie istnieje!

– Skąd ta pewność? – Stał naprzeciw niej gotowy do bronienia swojej racji, chociaż wiedział, że jej nie ma. – Spytałaś o to samego Billy’ego Joela? Może Joe McCatty był jego serdecznym przyjacielem! – Wypowiedział nazwisko podniosłym tonem, wykonując ruch rękoma przed twarzą dziewczynki. – Nie pomyślałaś o tym? Twierdzisz, że nie istnieje... Czy to aby na pewno nie przejaw faszyzmu?

Nie miał pojęcia, czym jest faszyzm, ale wiedział, że czymś złym, przeciwko czemu powinno się buntować. Dziadek często o nim mówił, czytając poranną gazetę. Faszyzm był czymś, przeciwko czemu buntowałyby się również Claire, gdyby sama miała większe pojęcie o tym zjawisku. Spencer, wspomniawszy o nim, chciał jej dopiec, a może i odrobinę zaimponować, lecz przede wszystkim uwielbiał iść w zaparte.

– Spence, czy ty w ogóle chcesz wygrać ten konkurs? – Położyła rękę na biodrze i zupełnie ignorując jego wypowiedź, spojrziała na niego jak zawiedziona matka.

Okoliczny dom kultury zorganizował konkurs karaoke dla dzieci od dziewiątego do czternastego roku życia. Nagrodą główną było pięćdziesiąt dolarów; kwota, która w roku dziewięćdziesiątym, nawet podzielona na troje, miała równowartość sztabki złota. Pozostałe nagrody niezbyt ich obchodziły. Nie brali pod uwagę zajęcia innego miejsca niż to pierwsze.

Odkąd Claire dostała maszynę, używali jej dzień w dzień – wcześniej dla zabawy, teraz do ćwiczeń przed wielkim wydarzeniem – dopóki rodzice Penny nie kazali im się rozejść do swoich domów.

– Czepiasz się tylko mnie! – Spencer przyjął postawę obronną.

One dwie kontra on jeden. Od zawsze miały nad nim przewagę liczebną, a on od zawsze zostawał przegłosowany, przekrzywany i każde inne „prze-” zgotowane mu przez te dwie wstrętne dziewczyny, które z jakiegoś powodu kochał nad życie.

– Do Pen nie masz żadnych uwag? – dociekał.

– Hej! – zaprotestowała Penny. Już miała powiedzieć, by jej w to nie mieszała, ale przyjaciółka odgrodziła ją od chłopaka swoim ciałem.

Claire była bez wątplenia najmądrzejsza z ich trójki, co wcale nie oznaczało, że musiała być przemądrzała, ale często taka się zdawała. Czerpała niesamowitą satysfakcję zarówno z udowadniania swojej racji Spencerowi, jak i poprawiania go, przyłapywania na błędach, wypominania mu wpadek, które zaliczył, i przedrzeźniania go.

– Pen nie myli nazwiska senatora!

– Bo Penny nie zna nazwiska żadnego senatora! – warknął chłopak i zdjął z siebie gitarę. Przez chwilę myślał, że rzuci ją na stary, frędzlowaty dywan, na którym stał, i ruszy w kierunku schodów, ale nagle całą trójką wybuchli gromkim śmiechem.

Najpiękniejszą rzeczą w ich sprzeczkach było właśnie to, że zawsze kończyły się wspólnym napadem śmiechu.

– To prawda... – Penny jako pierwsza się uspokoiła. – Nie interesuje mnie polityka – westchnęła i opadła na kanapę.

– Masz dziesięć lat, Pen. To rozumiało. Byłabyś jakimś wybrykiem natury, gdybyś się tym interesowała... – Spencer posłał sarkastyczne spojrzenie Claire.

– Ej! – Dziewczynka ostrzegawczo uniosła palec.

Claire wiedziała, że ten gest skierowany był do niej. Wiedziała to nawet wtedy, zanim chłopak zrobił idiotyczny, teatralny zwrot głowy w jej stronę.

Znów się zaśmiali.

Spencer uwielbiał jej dokuczać. To był ich język miłości. Jak inaczej dwójka dziesięcioletnich przyjaciół przeciwnej płci miałyby ją wzajemnie sobie okazywać? Nawet nie chciał sobie wyobrazić, co zgotowałyby mu dzieciaki z sąsiedztwa, gdyby traktował Claire inaczej. Gdyby ich przyjaciąźn nie była taka słodko-gorzka.

Czasami nawiedzał go koszmar, w którym inne dzieciaki śpiewały im tę przekłętą piosenkę, gdy wracali razem ze szkoły. Piosenkę, która dla dziesięcioletka równała się końcowi świata. Spencer nie pamiętał, jak ona dokładnie leciała, ale wiedział, że było w niej coś o całowaniu, małżeństwie i zakochanej parze, czyli o trzech rzeczach, które zupełnie nie dotyczyły jego i Claire. Na szczęście ten okropny sen

nigdy nie stał się prawdą. Lubił ten stan rzeczy takim, jakim był, a przynajmniej tak sobie powtarzał.

Claire i Penny stały się jego najlepszymi przyjaciółkami, ale były również dziewczynami. To znaczy, że przyjemnie się na nie patrzyło, ładnie pachniały, nie pociły się, nie robiły mu „majtkowania”, a przy tym mógł żartować z nich jak z chłopców. Mógł przy nich bekać, popychać je, ale także z nimi tańczyć, śpiewać i odgrywać przedstawienia teatralne. Sport nigdy nie interesował Spencera. To była wygrana dla wszystkich.

Pen różniła się od przyjaciół. Nie lubiła krzyku ani sarkazmu i to prawdopodobnie dlatego, że jeszcze niezbyt go pojmowała. Chciałaby, żeby Claire i Spencer byli dla siebie szczerze mili, a nie – nieszczerze niemili. Nie lubiła brać udziału w ich słownych potyczkach, w tym teatrzyku, w którym każde z nich odgrywało rolę ordynarnego komika jak w konkursie pod tytułem: „Czyj komentarz będzie bardziej cięty?”. Nie lubiła, gdy wszyscy musieli udawać, że Claire i Spencer wcale nie są w sobie zakochani. Penny wiedziała, że dwójka jej przyjaciół darzy się jakimś głębszym uczuciem. Zorientowała się już jakiś czas temu. Zauważała ukradkowe spojrzenia i czytała między wierszami ich przekomarzenie się, lecz nigdy nie skonfrontowała swoich podejrzeń ani z Claire, ani ze Spencerem. Nigdy dotąd nie poruszyła tego tematu. Żadne z nich i tak by się nie przyznało, a taką rozmową Penny zaryzykowałaby tylko ich przyjaźń. Na to nie mogła sobie pozwolić. Ani nikomu innemu w gruncie rzeczy. Wiedziała, że jeżeli ktokolwiek spróbuje ich rozdzielić, będzie musiał najpierw przejść przez mur, który stanowiła ona. Ale to nigdy by się nie wydarzyło. Zamierzała zabrać ten sekret ze sobą do grobu.

Przyjaźń z Claire i Spencerem była dla Penny wszystkim. Od zawsze liczyli się tylko oni. Trzej muszkietierowie. Ta nazwa nie podobała się Claire, która od najmłodszych lat wyznawała feministyczne idee. Taki wpływ na nią miała jej starsza siostra Daisy, która studiowała literaturę, socjologię i stosunki międzynarodowe. (Tak, naraz).

„Ja nie jestem żadnym muszkietierem, tylko muszkieterką jak już, ale nawet to mi nie pasuje, bo nie chcę z nikim walczyć. Przemoc jest przejawem braku emocjonalnej inteligencji...” – mówiła Claire. Kiedy „uruchamiała się” w ten sposób, Penny zazwyczaj odlatywała dokądś myślami.

Mieli tylko osiem lat, gdy chcieli wyryć nazwę ich grupy w drzewie. To nie był czas na polityczne, antyprzemocowe i środowiskowe poglądy Claire. Chociaż były one dla Pen inspirujące, a raczej takie się wydawały, bo w gruncie rzeczy dziewczynka nie miała pojęcia, czy to, co wówczas – ani nigdy przedtem – mówiła Claire, było prawdą. Bo być może Joe McCarthy był senatorem Wisconsin, ale zawsze mógł być też senatorem Minneapolis albo piekarzem z Tennessee, tylko że Penny nigdy nie obchodziło to na tyle, by sprawdzać prawdziwość informacji, którymi karmiła ich Claire. Nie miała nawet pojęcia, gdzie miałyby zacząć swoje poszukiwania prawdy, a poza tym ufała jej jak siostrze.

Nie mogąc dojść do porozumienia co do nazwy grupy, odłożyli tę zagwozdkę na później i w drzewie rosnącym w sadzie rodziny Penny wyryli tylko: „C+P+S 4Ever”.

– Spróbujmy od refrenu... – westchnęła Claire i wręczyła każdemu z nich po plastikowym instrumencie. – Zaśpiewajmy razem, okej? – Uśmiechnęła się.

Przyjaciele odwziewczyli jej się tym samym.

– Okej – powiedzieli jednocześnie.

Chwilę później w piwnicy rozbrzmiały ich głosy:

– *We didn't start the fire! It was always burning, since the world's been turning. We didn't start the fire. No, we didn't light it, but we tried to fight it. We didn't start the fire. It was always burning, since the world's been turning. We didn't start the fire. No, we didn't light it, but we tried to fight it (...)**

* *We didn't start the fire...* – (z ang.) To nie my wznieciliśmy pożar. On płonął od zawsze. Od kiedy świat się kręci. To nie my wznieciliśmy pożar. Nie, to nie my go rozpaliliśmy. Ale staraliśmy się go gasić (przyp. aut.).